

## BITWA O MUR

*Pamięci ks. Romana Jalocho - budowniczego kościoła w Białozórcze - oraz wszystkich uczestników walki o polskość Wołynia - opowiadanie to poświęcam.*

Wesoło spędzał ten swój pierwszy, powojenny urlop z matką i siostrą. Rodzina Stubno, które znał tak dobrze od tyłu lat, ukazywało się teraz w innym świetle. Odkrywał w nim nie zauważone dotychczas piękno, jakiś urok. Cieszył się, że owa sielanka trwać miała jeszcze dłuższy czas. Zawiadomienie z pułku pokrzyżowało te wszystkie rozkoszne plany. Musiał wracać natychmiast! Przykrość powrotu łagodzona była świadomością, że jednak nie zapomniano o nim, że oceniono wysoko jego wojenne zasługi, nadając mu za wszystkie znoje ziemię na Wołyniu. Postawiło go to w dodatnim świetle w oczach rodziny i znajomych. Jakże dumny był z tego wyróżnienia!

Ratując się od pochlipowań matczynych i zawsze skorej do tego siostry Kasi, wyszedł z domu kierując swe kroki ku cmentarzowi. Coś go ciągnęło do grobu ojca. Bo tylko on by zrozumiał synowską dumę. Jemu też chciał wypowiedzieć się z wszystkich skrytych ambicji, marzeń. Niech synowskie słowa, które nad mogiłą wypowie, przebiją czerń ziemi ojcowskiego grobu! Upadł na jedno kolano, w modlitwie krótkiej, żarliwej, tchnącej skargą i łkaniem. Po chwili wstał uspokojony. Nałożył swoją „hallerowską” rogatywkę i dłoń ruchem pełnym miłości, złożył na drzewie krzyża. Cicho prosił o ojcowskie błogosławieństwo na tę nową drogę życia. Ruchem pieśczoły odkurzył małą tabliczkę, lakonicznie informującą, że „śp. Szymon Kolodziej, zmarł w 1916 roku. O modlitwę prosi żona Marta”.

Odprawdzili go jak bohatera aż do Jarosławia. W tłumie ciekawskich, ujrzał smutną twarz Jadzi. Jej spojrzenie zdawało się go przeproszać za ów incydent na mostku, za swoje tchórzostwo, opuszczenie go pod groźbą nagich bagnetów... Słał z okna wagonu uśmiechy: wszystkim! Przeraził

gwizd, lekkie szarpnięcie - i pociąg ruszył z ciężkim szapaniem, nabierając szybkości, dymiąc niesamowicie.

Przespał większą część trasy przez Przemyśl, Lwów i Złoczów. Tarnopol obudził go jasnym słońcem, gwarem zatłoczonej stacji kolejowej. Do koszar 54 pułku, 12 Dywizji Piechoty spieszył się jak na specjalną randkę. Zostawił swoje oporządzenie, zamienił kilka słów z kolegami i poszedł do por. Kutę. Przywitali się serdecznie, jak starzy znajomi, kamraci z licznych bitew.

- Wyglądasz dobrze. Siadaj, siadaj... Przepraszam za skrócony nagle urlop. Sądziłem jednak, że sprawa nadania jest o wiele ważniejsza... Wszystko załatwione. Dokumenty czekają w dowództwie baonu. Mjr Ogórek wręczy je osobiście. Mamy z tym pełne ręce roboty, pragnąc zapewnić sobie bezpieczeństwo w pasie granicznym, tworząc tę jedyną w swoim rodzaju barierę narodowo wojskową na tych ziemiach...

Przerwał na chwilę swoje wyjaśnienia, podszedł do mapy i z zacięciem oficera operacyjnego wskazywał na różne punkty, ciągnąc dalej po przyjacielsku.

- Możemy powiedzieć, że nasze osadnicze zgrupowanie „hallerczyków”, rozciągając się będzie od południowych granic Polesia, aż po Dniestr. Będziesz w dobrej kompanii, mając za sąsiada, w niezbyt dalekich Szyłach, dowódcę naszej dywizji, gen. M. Żegotę-Januszajtisa. No cóż, w wojsku nie ma dlań miejsca, niestety... Osobiście uważam to za osłabienie naszej siły wojskowej. A nas na to nie stać. Sytuacja jest wielce niepewna: na pograniczu buszują bandy bolszewickie, wokół nas są obozy niedawnych naszych sojuszników. W Białowieży wegetują nieprzejednani „bałachowcy”. Pod bokiem, na Podolu, mamy rozbrojonych przez nas „denikińców”. W

głębi Polski rozlokowani są „siczowcy” atamana Semeona Petlury. Ten stan długo nie potrwa. Sprzyja to moim planom pozostania w wojsku. Innego życia nie wyobrażam sobie! Wy - którzy odchodzicie, przekujecie swój miecz na lemiesz. Ja uczyć nim walczyć będę tych, którzy tutaj przyjdą do pułku, zajmując wasze miejsca.

Skończył mówić. Podszedł do szafy kancelaryjnej i wyciągnął z jej wnętrza butelkę wódki. Uśmiechając się przyjaźnie, powiedział:

- A teraz strzemiennego, by oblać to nasze rozstanie, po tylu latach wojowania: od Piawy, aż po Dniepr! No, powodzenia.

Znów napelił kieliszki.

- Mam do was wszystkich wielką prośbę... Swoją działkę oddaję w dzierżawę bratu. Nie czynicie mu wstrętów. Wiem, nie dzielił z nami trudów wojennych; nie było go wśród nas podczas nawału ognia artylerii; nie brał udziału w naszych pochodach, radościach, smutkach, odwrotach. Ale to dobry Polak. Liczę na was wszystkich. Proszę...

W dowództwie baonu załatwił swoje sprawy szybko. Od mjr Ogórka dowiedział się o wyjeździe 300-osobowej grupy żołnierskiej, mającej się budować w okolicach Wiśniowca. Do Białozórki - jego miejsca przeznaczenia nad samą granicą - wyruszyć mieli z jego kompanii Warchałowski, Furgał, Nytko, Węgrzyn i Górniak - szef kompanii karabinów maszynowych. Musiał wysłuchać dodatkowych wyjaśnień i „założeń dyslokacji elementów operacyjnych” - jak to ujął mjr Ogórek.

Po obiedzie, uzbrojony w dokumenty, małą sumkę pieniężną; wzmocniony słowami licznych życzeń pomyślności - zaczął gromadzić swój „majątek”. Pobrał 200 sztuk nabojów do osobistego karabinka, pamiętającego czasy austriackiej monarchii; spakował cały swój dobytek żołnierski - i z tym przeraźliwie skromnym zaczątkiem swego przyszłego gospodarstwa - ruszył po odbiór nowiutkiego kompletu uprząży. Była

to jego „prywatna zdobycz” wojenna, wzięta na rozbrajanych „denikińcach”. Tutaj doznał pierwszego rozczarowania, dowiedziawszy się, że uprząż zabrał „prawem kaduka” ktoś inny, pozostawiając komplet „parciany”. Zaklął głośno na ową samowolę, której nigdy nie zapomniał. Zachował doń jakiś uraz z tego powodu.

Tym bardziej ucieszył się swoją klaczą. Poznała go. Cichym rżeniem i wesolym potrząśaniem głowy - dawała wyraz swojemu zadwoleniu z powrotu pana. Zawdzięczał jej życie w początkowym okresie walk z bolszewikami, gdy w misji wywiadowczej do przyjaznego popa, wpadł prawie w łapy burków. Wjeżdżając w obejście, nie zauważył ich okulbaczonych koni pod dachem szopy. Miał właśnie zsiadać, gdy zza węgła wybiegła popadianka, cicho wołając:

- Panie uciekajcie! Kozaki!

Zrobił zwrot wierzchowcem w miejscu, „dał mu ostrogę” i zmusił do galopu. Posypały się za nim okrzyki, później strzały. Przyłgął do szyi karej i rwał przed siebie. Mając ostro podkutego konia, przeleciał przez ściętą lodem rzekę, zostawiając za sobą ślizgające się konie kozackiej pogoni...

Ze wschodem słońca, był już w podróży do Łanowiec. Jechał przez znaną sobie dobrze krainę podolską. Po nazwach mijanych stacyjek orientował się dobrze w okolicy. Tu i tam rozpoznawał miejsca dawnych walk. Po godzinie jazdy koleją, znalazł się na terenie śmiertelnych zapasów 1920 r., gdy stawiali czoła masom kawalerii Budionnego, która wyszła na nich z okolic Tok i Podwołoczysk. Wtedy to, otrzymał drugą ranę, pamiątkę owej wojny.

Z Łanowiec dotarł do Białozórki najętą furmanką. Rozpytując się, dobrnął do folwarku Mitryfanowa. Zaczął padać deszcz, który szybko przeobraził się w ulewę. Pod olbrzymią stacją zostawił swój majątek i ruszył na poszukiwanie ekonomy, czy rządcy. Okrążył olbrzymie kałuże gnojówki, przeskakiwał trzęsawiska rozmokłej

ziemi, przekraczał pobojowisko połamanych wozów oraz narzędzi rolniczych. Przemokły zupełnie, dotarł do jego mieszkania. Zza drzwi, w które łomotał długo, dobiegło go gniewne złożenie, później wysunęła się rozczochrana głowa jakiegoś indywiduum.

- Czego tam?

Widok munduru, karabinek - te dwie rzeczy spowodowały nagłą zmianę w postawie folwarcznego sługi. Stał się pokorny, usłużny. Bez zwłoki zaprowadził do pustej izby w folwarcznych czworakach, z których zaczęły się wychylać znajome twarze: Gąsiorowski, Porębski, Czepiel, Musialik. Stwierdził, że w następnej izbie mieszka Michał Prostack - kolega i krajan, który zaczął go objaśniać w sytuacji, udzielać rad.

- Będziemy tutaj mieć ciężkie życie.

Oglądaliśmy już przeznaczone na parcelacje tereny. W lewo, bliżej granicy, to Nizy. Równina, dobra ziemia... Na prawo, w dół za folwarkiem, teren więcej falisty. Zobaczysz sam...

Mówił ciągle, stawiając na stół wędlinę i chleb. Siegnął za wyrko i wyciągnął butelkę wódki. Napełnił do połowy dwie szklanki, szerokim gestem zapraszał do kawalerskiego stołu.

No to, lu go! - rzekł, podnosząc napój do ust. - Na przemoczenie, przeziębienie - najlepsze lekarstwo.

Skończyli libację gdzieś po północy. Na chwiejnych nogach poszedł do swojej klitki. Zmęczony podróżą i nocnym pićciem, zapadł w głęboki sen.

Zbudziły go odgłosy wesołych nawoływań, śmiechy, skrzyp otwieranych i zamykanych drzwi. Gdy, wyszedł przed izbę czworaczną, uderzyło go w oczy światło pięknego dnia. Po wczorajszej burzy nie było ani śladu.

- Patrz no, kto nam składa wizytę - ktoś wołał doń z odległych, na oścież otwartych drzwi, wskazując ramieniem na idącą w towarzystwie rządcy wysoką postać kobiecą.

Awizowana w tej bezpośredniej formie, zbliżała się właścicielka - z woli cara Mikołaja nadanych - dóbr, uprzednio stanowiących własność rodziny polskiej, wywłaszczonej za udział w powstaniu styczniowym - szlachetnie urodzona, Miłtryfanowa. Stąpała władczo, wyniosłe; pełna złości wznieconej widokiem obcych, nienawistnych dla niej żołnierzy. Że byli już zdemobilizowani - to jej nie obchodziło. Dała wyraz swojej niechęci, mówiąc ze złością po rosyjsku:

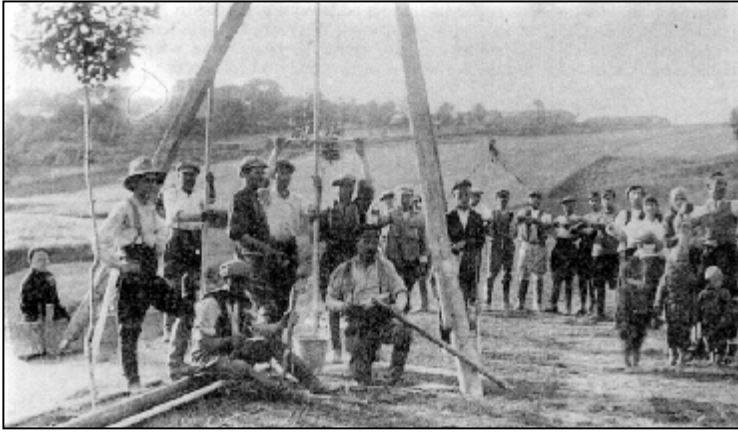
- Nie lubię tych polskich mundurów! Nakazę zamykać wszystkie, opuszczone przez ludzi pomieszczenia. Nie chcę ich mieć u siebie!

Ta prowokacyjna uwaga „baryszni” spotkała się z równie wrogim oddźwiękiem urażonych Polaków. Uszanowali jednak w niej kobietę - pomimo, że była Rosjanką.

Od tego drażliwego epizodu rozpoczął się okres długich zabiegów, związanych ze sprawą wyznaczania granic poszczególnych działek, wkopywania w miedze tradycyjnych kamieni, obchodem swoich „włości”, szukania murarzy, i tanich stolarzy, gromadzenia budulca. Ten i ów rozglądał się w okolicy za możliwością „wznienia się” w zamożną rodzinę. Takich, niestety, nie było zbyt wiele. Posażne panny nielicznych ziemian, nie dla takich jak oni, hołszy, przeznaczali majątni rodzice. Uwieńczonych sukcesem konkurów Jarzębskiego do panny Siniarskiej, nie można było zaliczyć do rzędu bogatego ożenku. Podobnie było z jego deklaracją uczuć, złożonych pannie Sawickiej z Hnilic Wielkich. Większość szukała towarzyszek życia w miejscowościach swego pochodzenia: pochodzili przeważnie z zaboru austriackiego. Wyjątek stanowił Paciorek z Warszawy i kpt. Turczyński z dawnych ziem polskiej Ukrainy. Jedyne Jordański mógł czuć się „u siebie”, pochodząc z tych okolic. Cierpiał najbardziej z tego powodu, bowiem majątek rodziców leżał tuż za

kordonem! Za linią graniczną! W zasięgu  
jednego wzroku!

w tej części Wołynia. Spędził on kilka dni  
na drzewie, ukrywając się przed krwiożer-



*Osadnicy przy budowie studni w osadzie Weteranówka pow. Krzemieniec*

Zamieszkał u siebie, w szałasie, by  
dopilnować budowy, zajmować się ziemią.  
Graniczyła ona z działką Prostaka i tzw.  
„wzorowym gospodarstwem” kpt. Turczyń-  
skiego. Stykała się następnie z gruntami  
kościelnymi i parcelami chłopów z Sofiów-  
ki, dawnej wsi pańszczyźnianej Knollów,  
osiadłych tutaj od wieków. Dzielił go od  
nich głęboki jar, przecięty rzeczką, którego  
obydwie ściany porastały czeremchy, olchy,  
brzozy i lipy. Ich rozłożyste konary zasła-  
niały częściowo dwór, zwany często pała-  
cem. Zdobiły go portyki dwóch ganków, z  
których spływały szerokie schody: od połu-  
dnia - wiodące w zieleń ogrodową; od  
północy - na obszerny gazon, z którego  
prowadziła aleja ku bramie dworskiej,  
oddzielającej posiadłość od Sofiówki. Jej  
mieszkańcy - ukraińscy chłopcy - zapisali się  
w historii tej miejscowości faktem części-  
owego rozgrabienia mienia dworskiego w  
okresie rewolucji bolszewickiej i zapędze-  
niem do grobu Knolla - ostatniego dziedzica  
tego majątku ziemskiego, ostoi polskości

czym motłochem. Postradał zmysły, stracił  
zdrowie i zszedł z tego świata, walcząc do  
śmierci z lękiem przed swoimi prześladow-  
cami. Pochowany został w grobie rodzin-  
nym, na cmentarzu kościoła św. Rocha,  
świątyni utrzymywanej sumptem jego ro-  
dziny.

\*\*\*

Kościółek stał na wyniosłym wzgó-  
rzu. Okalał go stary cmentarz. Cały teren  
małej świątyni otaczał mur kamienny.  
Dzwonnica, z bramą szeroką, stanowiła jak  
gdyby główny bastion obronny. Ta owa  
małość świątyni, wystarczająco obszernej  
dla niezbyt licznej gromady miejscowej  
ludności polskiej, ale nie mogącej pomie-  
ścić przybyłych tutaj żołnierzy zwycięskiej  
wojny 1920 r. stała się powodem „bitwy o  
mur”. Otaczał on pałac Mitryfanowa,  
otrzymany przez jego przodków za zasługi  
w uśmierzeniu polskiej „ruchawki” 1863 r.

Decyzja budowy większego kościoła,  
była uzależniona od nabycia terenu, odpo-  
wiednio blisko położonego koło starej

świętyni. Posiadaczem gruntów leżących w kręgu zainteresowań grupy osadników wojskowych był Mitryfanow. Zakładali oni słusznie, że bezinteresowne przekazanie obszernej parceli na ten cel, będzie naturalnym aktem rekompensaty w stosunku do Polaków. Tym bardziej, że dawna pałacowa kaplica została zburzona, a kamień użyty na budowę owego muru.



*Defilada „Krakusów” na rynku w Białozórce*

Mitryfanow, gdy mu kpt. Bara - w towarzystwie Dobrowolskiego i Pawlickiego - przedstawił żądania Polaków, omal nie doznał ataku apopleksji. Co? On urzędnik służby dyplomatycznej cara imperium rosyjskiego, ma znosić impertynenckie żądania Polaków, stawiane w tak niedyplomatycznej formie? On, ma oddawać swoją ziemię pod kościół tych łacinników? Nie, nigdy! Twarz rozpitego Moskala nabiegła krwią, w ustach mełł jakieś francuskie przekleństwa i słowa wyrażające najwyższe zdumienie i gniew. Po chwili wziął w nim górę szczwany lis, wiedząc, że musi ustąpić, ulec tym - jakże bezczelnym w jego rozumieniu - żądaniom. Chciał ich okpić ochłapem.

Jego zamysły spełzyły na niczym, gdy zmusili go do spotkania się z nimi na terenie dawno już przez nich upatrzonym. Przylegał on do Białozórki i graniczył z obszernym budynkiem, przeznaczonym przez byłych żołnierzy polskich na lokal szkolny. Na spotkanie stawiał się Mitryfa-

now w towarzystwie rządcy, oraz kilku osób służby folwarcznej, bardzo wystraszonej całą sprawą. „Hallerczycy” przyszedli w komplecie z mierniczym, zaopatrzonym w instrumenty, paliki, sznury i miary. Postępowanie Chojko miał czuwać nad porządkiem.

Awantura wybuchła z chwilą, gdy Mitryfanow uzmysłowił sobie rozmiary żądań. Wbijano paliki w oznaczonych przez mierniczego punktach, wymierzano długość muru przeznaczonego na fundamenty planowanej świątyni - nie zwracając uwagi na protesty Moskala i jego groźby. Służba ulotniła się dyskretnie. Gdy w desperacji - powołując się na prawo polskie - zażądał od posterunkowego Chojki zapisania wbijających paliki: Sudoła, Kawy i Warzeha - wszyscy chwycili się tej czynności. Widząc swoją beznadziejność wobec nieustępliwości młodych ludzi, zawołał głośno:

Panowie! Tak robią bolszewicy!

Zrobiło się cicho. Raptem ktoś wyrzucił z siebie przekleństwo:

- Ach ta, twoja moskiewska mać!

Sunęli ku Moskalowi kupą. Ten i ów ścisnął w dłoni palik, wyrwany z ziemi. Mitryfanow zobaczył w oczach zbliżających się doń coś strasznego, być może śmierć. I uciekł.

\*\*\*

Epilog „bitwy o mur” miał miejsce w restauracji, w Białozórce, gdzie Mitryfanow przeprosił Polaków, podpisał przygotowane przez notariusza dokumenty, stwierdzające fakt oddania osadnikom wojskowym obszernego kawałka ziemi, przeznaczonego na budowę kościoła i plebanii. Ofiarował też całą długość muru kamiennego, do rozebrania na fundamenty owej świątyni, której budowę doprowadził do końca ks. Jąlocho z Kielc, Anno Domini 1939.